NUMER 25. DNIA 21-go CZERWCA 1903 ROKU

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Jan Karłowicz.

Śp. Jan Karłowicz należał do tych umysłów wielostronnych, którym nie wystarcza jedna dziedzina wiedzy. To też znajdziemy imię jego w sferze ogólnej publicystyki, w sferze muzyki, filozofji, historji, etnografji i językoznawstwa. Głównie jednakże zapisze się on w dziejach nauki polskiej, jako jeden z najświetniejszych językoznawców, oraz jako właściwy twórca umiejętnego folkloru.

Folklor — wyraz pochodzenia szwedzkiego — określa się jako naukę, która zbiera, porównywa i wyjaśnia rzeczy ludowe.

Zbieranie rzeczy ludowych (pieśni, legend, przesądów, tradycyj etc.) rozpoczął u nas już Hugo Kołłątaj, po nim zwłaszcza zasłynął Zorjan Dołęga Chodakowski, a za naszych już czasów największą pracę w tym względzie wykonał O. Kolberg. — Na tle pracy Kolberga i wielu innych mniej znanych źródeł, wreszcie na tle badań Europy zachodniej i studjów własnych oparł J. Karłowicz cały szereg rozpraw, które folklorowi polskiemu nadały cechę naukową. Przedewszystkiem należy tu zaznaczyć pracę pt. Systematyka pieśni ludowych. Nie idzie tu autorowi o klasyfikację pieśni pod względem ich charakteru (pieśni weselne, miłosne, żałobne, obrzędowe etc.), ale raczej o ich zbadanie pod względem wątku i pochodzenia. Istnieje śród badaczy pieśni ludowych spór, dotyczący dawności pieśni ludowych: jedni uważają je za niezmiernie stare, przedhistoryczne niemal zabytki twórczości; inni — przeciwnie — są tego zdania, że pieśni ludowe nie mogą być starsze nad w. XIV. i XV. Ta ostatnia hypoteza jest bardzo prawdopodobna, z tem zaznaczeniem, że jednak mogą się w tych nowotworach znajdować przeżytki (*survivals*) pojęciowe z wieków dawniejszych, przeżytki, które aż dotąd przetrwały śród ludu, jako pomniki pierwotnego poglądu na świat.

Wydobyć i zrozumieć ten pierwotny pogląd na świat — oto rzeczywisty cel folkloru, — szerszy w istocie, niż się z pozoru wydaje — gdyż folklor graniczy z religją i mitologją, z filozofją pierwotną i pierwotną nauką, zawiera wreszcie wątki pierwotne epopeji i wielkich poematów człowieczeństwa.

W badaniu tych szczątków kultury zamarłej, w wierzeniach ludowych w duchy, w gusła, w czary — odkrywamy pierwoźródło wszystkich teogonij i kosmogonij, ksiąg Wedy i poematów Homera. Folklor poucza nas, że twórczość ludzka jest na całej ziemi jedna i ta sama, że te same pomysły twórcze znachodzą się w starożytnym Egipcie, na wyspach Polinezji i w chacie polskiego wieśniaka. To też do zadań folkloru należy również znalezienie drzewa genealogicznego tych głównych wątków, które znajdujemy zawsze na dnie wielkich poematów i wielkich legend człowieczeństwa. Częstokroć się zdarza, że jedna i ta sama legenda występuje np. u Greków jako określony, pełny symboliki mit religijny, gdy

w baśni polskiej jest ona tylko motywem bezimiennej klechdy.

Dwojaka hypoteza tłumaczy tę jednostajność: przypuszczenie możliwości jednoczesnego ich powstawania w różnych punktach ziemi, oraz przypuszczenie ich wędrówek z jednego centrum. Zazwyczaj Indje uchodziły za taki punkt centralny skąd rozwinęły się nasze klechdy i podania. Jednakże przypuszczenie o Indjach nie wytrzymuje dziś krytyki, wobec tego, że istnieją ślady niewątpliwe pożyczek, jakie Indje poczyniły w innych krajach. Niezmierny urok jednakże ma śledzenie jakiegoś motywu folklorowego — w coraz innej postaci i w coraz innym kraju. Na tem tle rozwinął J. Karłowicz cały szereg nad wyraz interesujących badań jak np. Wątki króla Leara w pieśni ludowej polskiej, o Meluzynie i Wandzie, o Madeju, o Żydzie wiecznym tułaczu, o Walgierzu z Tyńca itd.

Przejście od folkloru do lingwistyki stanowią niektóre rozprawy, a zwłaszcza rzecz o Słoworodzie ludowym, gdzie autor wykazuje wpływ wyobrażeń ludowych na budowę wyrazów, zwłaszcza zaś wyrazów obcych, które lud bardzo umiejętnie spolszcza (np. perswadować, prześladować, szesląg-krześląg itd.)

Znakomitą pomocą w badaniach językoznawczych była dla Karłowicza gruntowna znajomość litewszczyzny, którą dziś badacze języków aryjskich uważają za klucz do zrozumienia ich budowy, niemniej ważny od sanskrytu; i owszem język litewski posiada formy niejednokrotnie starsze od sanskryckich — i pomimo licznych naleciałości obcych (polskich, ruskich, niemieckich, fińskich) — jest niewątpliwie jedną z najstarszych formacyj lingwistycznych rasy aryjskiej: jego pokrewieństwo z językami celtyckiemi — wyjaśnia zagadkową budowę tych ostatnich. Niestety, badanie litewszczyzny jest u nas zaniedbane; niemcy i rosjanie więcej się zajmują tym przedmiotem. Ostatnio ułożył gram. litewską po polsku zmarły niedawno biskup I. Baranowski. Językowi litewskiemu poświęcił Karłowicz bardzo cenne studjum; również zajmował się językiem białoruskim.

Oczywiście jednak głównym przedmiotem jego badań był język polski. Ostatniemi czasy obszar badań językowych znacznie się rozwinął: ogarnął on bowiem nietylko język literacki, ale też niezmierzone skarby języka ludowego tzw. gwar. Każda okolica ma swoje wyrażenia, zwroty, sposoby mówienia, nieraz bardzo godne uwagi.

Benedyktyńskiej pracy J. Karłowicza zawdzięczamy obszerny „Słownik gwar polskich“ (Kraków, 1900—1901). Wyszły dotąd dwa tomy, obejmujące litery **A—K.** Jest to prawdziwa kopalnia wyrazów ludowych, ze wskazaniem okolicy i licznemi przykładami. Jak słyszymy, rękopis całkowitego Słownika jest gotowy — i śmierć autora nie powstrzyma dalszego ciągu wydawnictwa. Również niedokończony w druku, choć w rękopisie gotowy, jest „Słownik wyrazów obcego, a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim“ (Kraków, 1894—97); wyszły dotąd litery **A—L**; na pozostałość czekamy niecierpliwie.

Nakoniec znakomitą pracą nieboszczyka (wespół z A. A. Kryńskim i Wł. Niedźwiedzkim) jest Słownik języka polskiego, praca ogromnej erudycji, nagrodzona na konkursie im. Lindego przez Akademję Krakowską. Dzieło to, pomnikowego znaczenia, uzupełnia braki Słownika Lindego i stanowić będzie dla nas podstawową księgę znajomości języka.

Prócz tych kapitalnych prac, Karłowicz ogłosił niemało rozpraw, dotyczących filologji, przyczem każda z tych broszur zawierała wycieczki na szersze widnokręgi myśli i badań: taki charakter mają zwłaszcza ogłoszone w Pamiętniku fizjograficznym (1881—1887) rzeczy pt. O imieniu Polaków i Polski, O imionach własnych polskich miejsc i ludzi, Imiona niektórych plemion i ziem dawnej Polski, Chata, studjum lingwist.-archeologiczne.

Do bardzo ważnych prac Karłowicza należy zaliczyć wstęp i komentarze do przekładu Taylora „Cywilizacji Pierwotnej“; zwłaszcza w przedmiotach polsko-słowiańskich dopiski te są ogromnej wartości. Na tle tych nowoczesnych badań w dziedzinie folklorze i etnologji — oparł też Karłowicz swoją rzecz „O człowieku pierwotnym“, 7 odczytów, wygłoszonych niedawno we Lwowie, świeżo wydanych przez Tow. Wydawnicze.

Przekład niektórych szkiców Macaulay'a, Etyki Spencera, wreszcie Dziejów stosunku wiary do rozumu Drapera — uzupełnia pracowity żywot Karłowicza.

Osobną sferę jego życia stanowiła miłość muzyki; sam był uzdolnionym wiolonczelistą i w domu swoim uprawiał koncerty symfoniczne. Mieczysław Karłowicz, syn zmarłego, odziedziczył

po ojcu to zamiłowanie i specjalnie oddał się muzyce, słynie też jako wybitny kompozytor.

Co do prac Jana Karłowicza, dotyczących muzyki, to zaznaczymy przekład Richtera „Zasad, harmonji" oraz oryginalny „Projekt nowego znakowania nut muzycznych drukowany częściowo w warszawskiem *Echu muzycznem*.

Nauka polska przez śmierć J. Karłowicza poniosła ciężką stratę.

A. L.

Z Pól.

ORKA.

Głębiej, oraczu, sięgaj pracowitym pługiem,
lśniącym we mgle porannej blaski iskrzącemi!
Niech się skiba odwala wielkim szmatem ziemi
na pra-starym zagonie szerokim i długim!

Głębiej sięgaj! Patrz słońce ze snu już powstało,
mgły rozpędza, promieniem pieści cię miłośnie,
w jego blaskach potężnie posiew twój wyrośnie
i chleba w naszej ziemi nie będzie za mało...

Słuchaj, jak w rannej ciszy, od rosy odbity,
śpiew skowrończy perłami srebrzystemi dzwoni:
on śpiewa, że moc wielka spoczywa w twej dłoni,
że czas zimy, w męczarni serdecznej przebyty,
zapadł w przeszłość, że nowe wyzłocą się żniwa,
że skiba twoja żyzna czuje, że jest żywa!

PUSTKA.

Są w polu wydmy nagie, bezpłodne i puste,
kędy smutno nie tylko nocami nocnemi,
gdy wiatr jesienny, lecąc, skrzydłami drżącemi
szarpie na krzyżu wdowią od łez mokrą chustę.

Wydma naga i w słońca promieniach się smuci,
sterczą z jej piasku kości, kracze nad nią wrona
przez psa-żebraka nagle wśród uczty spłoszona,
i duch jakiś pokutny pieśń żałobną nuci...

W gruzach starej siedziby, umarłej przed laty,
żmija, sycząc, wypręża, gibkie śliskie ciało;
wiew cichy, wieczny zgina drzewinę zbolałą,

co ongiś była cieniem i ochłodą chaty.
Czasem wędrowiec blady na chwilę tam siada
i, łkając, wyschłą piersią szepcze: biada, biada!

W POLE.

Na przedzie siwowłosy hetman w delji, w zbroi,
za nim, jak oko sięgnie, pancerni rycerze;
pierś stalowa w szerokim oddechu moc bierze,
przed nią się i najdzikszy z wrogów nie ostoi...

W pole — strojnie, jak w taniec, idą polskie męże;
lśnią buławy, proporce, sztandary szeleszczą,
srebrne orły, migocąc, przyszłą chwałę wieszczą,
pieśń płynie na kraj świata, szczękają oręże...

W pole, w pole! na wroga! po wawrzyn zwycięski,
po hołdy lennych królów, po swobód klejnoty,
błogą ciszę — dla pracy, — rozkwitu wiek złoty,

a jeśli Bóg zdarzy, po sławny zgon męski...
Hej w pole! Ziemia dudni od morza do morza,
i za morza nas wiodła jasna sławy zorza!

Zofja Poznańska.

CHORĄŻY.

Z FRANCUSKIEGO.

Chorągiew! Trzymać się chorągwi! Ostrzem szabel, strzałami broni palnej, grenadjerzy marszałka Lannes torowali sobie drogę wśród ulic Esslingu.

Ochrypły głos powtarzał ciągle:

— Za sztandarem! Śmiało! Massouille! Baczność! Czterech naciera na ciebie!

Komendant wspiął konia ostrogami, przesadził trzech ludzi i nadbiegł z pomocą chorążemu, lecz huragan wrogów uniósł go w inną stronę.

— Baczność! Za mną! Kapitanie ściskać szeregi!.. Odważnie! Na bagnety!..

Grenadjerzy rzucili się naprzód, słyszano wciąż głos komendanta:

— Massouille! Massouille!

— Gdzie jesteś, Massouille? Trzymaj dobrze, nie puszczaj sztandaru! To ja twój dowódzca? Nie puszczaj! Powiem cesarzowi jakeś stawał!

— Jestem! rozległ się znowu ten sam głos tuż przy chorągwi.

— A, psy jakieś! Massouille! Zawróć się, do licha! i daj im jak przystało na ciebie... ot tak, dobrze! A teraz do mnie z orłem!

Massouille nie słuchał.

Pozostał. Jedną ręką trzymał sztandar, na którego drzewcu lśnił dumnie w słońcu orzeł cesarski, drugą wznosił z szablą do góry — gdy spuszczał — wróg padał trupem...

— Massouille! — strofował komendant — To nie dla ciebie robota! Nie masz prawa narażać orła! Złożę raport cesarzowi. Wracaj natychmiast!..

Massouille nie dosłyszał rozkazu. Wyprostowany wśród bojowego zgiełku, otoczony strażą chorągwianą, złożoną z czterech żołnierzy z lancami, powiewał wśród gradu kul wielkim swoim sztandarem.

Wszystkie uliczki drżały, miasto lada chwila mogło być odebrane, walczono na wszystkie strony, nadeszła chwila wysunięcia się naprzód.

— Massouille! Massouille! Massouille! Przypomnij sobie, że pod Marengo byłeś sierżantem pod mymi rozkazami! Baczność! Pilnuj orła! Ale do kroćset djabłów! nie widzę go już na miejscu... Tak!.. Niema go! do kroćset!

Massouille nie słuchał.

Z twarzą białą, jak u dziewczyny, nawpół odarty, parł się naprzód z bronią wzniesioną, znacząc trupami każdy krok, w końcu jednak, widząc się otoczonym przez wrogów, przystanął, by lepiej walczyć.

Rękę silną miał jak taran, ludzie padali jak muchy pod uderzeniami jego szabli.

Strzał zerwał mu kask z głowy, drugi ugodził w szyję tak, że po białej piersi spływała krwawa wstęga.

Rzucono się go ratować.

— Massouille, chcesz zginąć! Co za szaleniec! Na prawo! Strzeż się! Baczność! Pilnuj sztandaru.

I komendant poskoczył ku chorążemu, lecz nowa masa wrogów nadpłynęła i oddzieliła Massouille'a od grenadjerów; walka zawrzała na nowo; nareszcie ostatnie przedmieście zdobyto.

— Massouille! mój przyjacielu! — wołał komendant.

Szukał go spojrzeniem, napróżno!

— Orzeł! Szukać chorążego! Sztandar! Na miłość Boga, sztandar!

Austrjacy pierzchali, teraz rozległ się głos bębnów. Massouille ukazał się... w jednym ręku trzymał trójkolorowe drzewce sztandaru — drugą jeszcze siekł od czasu do czasu, na lewo i prawo.

Spotniałe włosy opadały mu na rozpromienione oblicze, głosem, który się echem odbijał po pustych domostwach, dobywał z piersi okrzyk na cześć cesarza i posuwając się tak środkiem ulicy wydawał się prawdziwym tryumfatorem dnia!

Zaprowadzony na kwaterę, znikł jednak niebawem, towarzysze napróżno szukali go do późnej nocy.

— Gdzie chorąży? wypytywali rannych.

Nikt nie odpowiadał. Dziewiąta biła, Massouille nie zjawił się.

Późną dopiero nocą wysunęło się z jednego domu pięciu ludzi, księżyc oświetlał ziemię zasianą trupami, Massouille szedł na przodzie.

Był ponury, szyję obwiązał był dużą szmatą a w dłoni wznosił przesławny sztandar, poszarpany, podziurawiony od kul, ale bez orła!

Bez orła... sztandar już nie miał orła! jakaś przeklęta kula zabłąkana musiała go oderwać, a chorążego rozpacz ogarnęła, gdy spostrzegł, co się stało.

— Komendant miał słuszność, powinienem był pilnować...

I szedł naprzód.

— Hej! Co to? widzisz?

Zapytany wzruszył ramionami:

— To nasz towarzysz... Nöel, dawny mój brygadjer z 10-go pułku.

— Trzeba iść powoli — rzekł Massouille.— Dalej podnieście mi to...

Cztery lance pochyliły się i odrzuciły dwóch trupów...

— Czyś go poznał? to Chassard!

— Tak, a ten drugi to Trontier.

— Szukajmy i obok nich. — Wołał ciągle gorączkowo dowódca gromadki.

Pochylili się nad miejscem, w którem przed chwilą leżały trupy — ale nie znaleziono nic na bruku.

Zlustrowali w ten sposób całą ulicę, dwustu może poległych poruszono, ale orła nie było nigdzie.

— Albo kula, albo cios szabli zmiótł mi go z drzewca. Co powie cesarz? Co ja zrobię teraz bez orła? Co znaczy sztandar bez orła!

On zobaczy to jutro i co *On* na to powie?!

Straż jęła grzebać znowu śród poległych.

— Widzisz, Grimard – rzekł któryś z żołnierzy.

— Judt, Lerocher! — rozpoznawali trzej towarzysze.

— Szukajmy, szukajmy! – wołał Massouille.

Wściekła złość go ogarnęła:

— Nie, to niemożliwe, powiadam wam! Chorąży stracić nie ma prawa orła! I czemże będę ja Massouille, którego nazywali „jeden na dziesięciu", jeżeli nie odzyskam straty. Bo niema go! a był dziś rano przecie na drzewcu!

— I co On powie na to!

Pochylił się.

— Dowódzca...

W świetle księżyca żołnierze ujrzeli bezkształtną okrwawioną masę, był to pułkownik. Poległ wraz z innymi.

– Zostawcie go — zakomenderował chorąży. Jutro bitwa! Jeżeli nie znajdę orła — roztrzaskam sobie czaszkę...

Rzucił się nagle ku ziemi z ręką wyciągniętą lecz to było tylko złoto, które rozsypało się z czyjegoś rozerwanego woreczka — nie jego zguba.

W milczącem porozumieniu podzielili się niem żołnierze.

— Mój orzeł! Mój orzeł!..

Zdawał się tracić rozum, idąc, potrącał nogą poległych wrogów, niektórzy z nich żyli jeszcze, z piersi ich wyrywał się tłumiony krzyk, przekleństwo czasem — poczem opadali martwi.

Nagle coś potwornego zerwało się z nad krwawych ciał, otoczyło ich wiatrem i świstem. Żołnierze cofnęli się z krzykiem.

—Ha, drapieżce! — wrzasnął po chwili Massouille — za mną w pościg!

I rzucił się z szablą w dłoni, a za nim podążyli towarzysze.

Po chwili cisza zapanowała w mieście – pozostały tylko noc, trupy i śmierć.

Błysnął dzień 22. maja.

Od świtu grzmiały armaty, głosząc walkę. Cesarz miał trzy pierwsze dywizje Masseny w Aspern, a kwaterę w Essling, bronioną przez korpus Lannes'a. Pomiędzy temi dwoma miejscowościami rozstawiona była jazda Bessiéres'a.

Gwardja cesarska powstrzymywana w zapasie, jak sfora ogarów na uwięzi, pomrukiwała, rwąc się do boju.

Napoleon doglądał wszystkiego osobiście.

Arcyksiążę ponowił wczorajszy atak; chciał przerwać linję między Essling a Aspern.

Dywizja kirasjerów spadła na wroga, Massena krzyknął:

— Grenadjerzy! Tam się bawią bez nas! — i ruszył; gwardja, spuszczona ze smyczy, runęła na Austrjaków — i armja arcyksięcia została wokamgnieniu rozbita.

Wtedy cesarz zakomenderował:

— Na ciebie kolej, Lannes!

Marszałek ruszył uroczystym marszem, wspaniale... jak zwykle. Na czele szła brygada Massouille'a, a na przedzie on sam, jeden z bohaterów dnia wczorajszego.

Zdawało się, że to sama śmierć zbliża się, spokojna, olbrzymia — już miano zewrzeć się z wrogiem, gdy nagle, wśród idących do szturmu szeregów francuskich zawrzało, krzyk wzbił się pod obłoki.

Głowy się podniosły... zapał, jak huragan, wstrząsnął pułki, siejąc wrzawę, zamieszanie!

Potężny, głuchy przeraźliwy wrzask, co mroził serca, podnosił włos na głowach, rozrywał pierś, rozległ się nad armją lotem błyskawicy, obiegł wzdłuż i wszerz!...

To Massouille się ukazał!

Straszny w uniesieniu, porwany wewnętrznym ogniem, z rękoma wzniesionemi do góry, powiewał ku Austrjakom dziwnym sztandarem!

Okrzyki zdławione, przeszywające wydawał wielki żywy orzeł, pojmany w nocy przez żołnierzy chorążego i przywiązany nad sztandarem zamiast cesarskiego orła z bronzu.

Królewski ptak, oszalały wrzawą bitwy, wydawał także okrzyk wojenny! I ruchem zdobywcy rzucił się w stronę nieprzyjacielskich szeregów, ciągnąc sztandar postrzępiony, wskazując bataljonom i pułkom drogę zwycięstwa.

Włodzimierz Wolski.

(Ciąg dalszy.)

Wolski był lektorem, a czytał znakomicie, umiał też dykcją podnosić każdy lepszy ustęp. Nie poprzestając na tem, dodawał od siebie pochwalne słówka, jakby mimowolne wykrzykniki zachwytu, np. „Quelle finesse" albo „Comme c'est dit", które wypowiedziane z odpowiednim akcentem, musiały głaskać miłość własną autorki, tem bardziej, że lektor zatrzymywał się w odpowiedniem miejscu i spoglądał po słuchaczach, oczekując pochwalnego echa, które zawieść nie mogło.

Zacna pani Nakwaska była uradowana. Czytanie pamiętników zabrało parę wieczorów i rzecz bardzo naturalna dla tych, którzy znali Wolskiego, na jeden z nich spóźnił się on o całą godzinę a z nim spóźnił się także jeden z zaproszonych, Józef Kenig, mniej jednak winny w tym razie, bo był tylko słuchaczem.

Pani Nakwaska miała wiele przymiotów, ale cierpliwą wcale nie była, pod względem zaś etykiety towarzyskiej miała nieubłagane zasady. Sama myśl, że ktoś lekceważył jej zaproszenie i nie uznał za stosowne wytłómaczyć się choćby jednem słówkiem, była dla niej nieznośną. Przez tę całą godzinę prawie kipiała z gniewu, nasłuchując, czy kto nie nadchodzi. Wreszcie odezwał się dzwonek w przedpokoju i po chwili weszli winowajcy. Wszyscy myśleli, że ich spotka ostre połajanie. Ale stało się inaczej. Obadwaj mieli wyraz tak żałobny, iż słowa zamarły na ustach gospodyni domu, a oni złożyli jej głęboki ukłon. Wolski zaś wyrecytował, jak wytrawny aktor, z odpowiednim nastrojem, zapewne przez drogę ułożoną bajeczkę. Nie przepraszał nawet za opóźnienie, bo był pewny, iż pani Nakwaska rozumiała, że tylko jakaś nieodwołalna konieczność mogła go zatrzymać. Oto z Kenigiem byli przy łożu konającego przyjaciela.

Podał tak wzruszające szczegóły, iż musiano go pocieszać. Przez cały wieczór zachował nastrój ponury i czytał też mniej dobrze, niż zwykle. Można to było przypisać strapieniu. W rzeczywistości jednak, ci panowie zabałamucili się na jakimś koleżeńskim obiadku i mieli się na baczności, by tego po nich nie poznano.

Wolski był przez parę miesięcy — czas stosunkowo bardzo dla niego długi — ulubieńcem pani Nakwaskiej, dopóki jakaś głośna awantura, w którą był wmieszany, nie wytrąciła go, na czas jakiś przynajmniej, z warszawskiego towarzystwa.

Związany ścisłą przyjaźnią z Wilkońskim — jak pisze Niewiarowski w swojej sylwetce, Wolski należał do towarzystwa „Głupców," które zawią-

zało się nakształt wileńskich „Szubrawców“, a dowcipny chirurg filozofji, który był prezesem cechu, jak nazywano towarzystwo, tytułował się najgłupszym. Oprócz siebie, Wolskiego, Keniga, Lenartowicza, Niewiarowski wymienia innych, należących do cechu, i to z różnymi przydomkami; byli to: Bogdan Dziekoński „tkliwie głupi“, Wójcicki „poważnie głupi“, Lewestam „ciężko głupi“, Karol Witte „kwaśno głupi“, wreszcie Antoni Czajkowski „prawnie głupi“, był bowiem profesorem prawa w uniwersytecie petersburskim.

Na arenę literacką Wolski wystąpił bardzo młodo, bo mając lat ośmnaście i to od razu z dziełem, które musiało zwrócić uwagę. W roku 1843 w *Przeglądzie naukowym*, wydawanym przez Edwarda Dembowskiego i Hipolita Skimborowicza, ukazał się jego poemat „Ojciec Hilary“, który cała ówczesna grupa uznała za swój program.

„Ojciec Hilary“ nie jest zapewne arcydziełem, za jakie go wówczas okrzyknięto, ale nie jest też utworem pospolitym, a co najważniejsze treścią, formą, szczegółami i układem charakteryzował moment, w którym był napisany.

Osnowę bardzo prostą wikła tylko autor bezładem opowiadania. Danił, w owej epoce poddany — w owej epoce poddaństwo chociaż zniesione jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego w dzisiejszem Królestwie, istniało jednak w innych prowincjach polskich — bohater Wolskiego, chowany na dworze Podczaszego, był celem naigrawań, szyderstw i razów. Później uczył się z rozkazu pańskiego, co nie przeszkodziło paniczowi gdy dorósł, pozostawić go w roli lokaja.

Ma się rozumieć, stosownie do ówczesnych tendencyj, lokaj przerósł o całe niebo swoje otoczenie. Chełpi się on ze swego pochodzenia, z poniżeń, wśród których wzrastał:

Ja chłop niewolnik z imienia i rodu,
Ojca nie znam a matka żebraczka zgrzybiała
Psom pana podczaszego obiady dawała.
Ja, ojcze, miałem urząd piękniejszy, dwojaki:
Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku
i jak pies pilnowałem pańskiego ogrodu.

Autor gromadzi wszystkie poniżenia i nieszczęścia około swego bohatera. Gdy matka mu umarła, musiał ją pochować własnemi rękoma i wtedy to w jego duszy powstał jad wściekłej nienawiści do całego rodu ludzkiego.

Nienawiść ta nie przeszkodziła mu jednak pokochać kuzynkę swego pana, Zofję-anioła, lilję, jak ją nazywa. Miłość poddanego była pokorna jak modlitwa, ognista jak piorun, a zarazem tchnęła mistycyzmem, obwiewającym cały poemat, jako charakterystyczna cecha epoki.

Zofja pokochała wzajem bohatera, ale pomimo to ma zostać żoną karykaturalnego bogacza szambelana, a bohater zelżony przez niego w obecności ukochanej i skazany na chłostę, mści się uderzeniem noża.

Wszystko to przecież raczej szkicowane, napomknione, niż wypowiedziane. Styl Wolskiego jest mglisty i płomienisty zarazem; figury działające nie mają wyrazistych konturów, ale dyszą namiętnością. Autor wypowiada przez ich usta własne, gwałtowne uczucia.

Miłość, nienawiść, zazdrość, zemsta, są to czynniki zupełnie wystarczające do wywołania dramatycznych kolizji, siły piekielne nie potrzebują tutaj mieszać się widomie. A jednak sam szatan podsuwa Daniłowi nóż, którym uderza szambelana, sam szatan tajemniczym sposobem wyprowadza go z więzienia, a wreszcie, gdy szukał schronienia w ciszy klasztornej, stawia mu przed oczy parę oblubieńców, których ma połączyć ślubnym węzłem. Jest to Zofja i szambelan. Szatan zadrwił z duszy, pałającej żądzą zemsty, bo szambelan z rany się wyleczył. Widząc to, bohater dostaje pomieszania zmysłów i umiera. Poemat jego jest spowiedzią, naturalnie spowiedzią bezładną i urywaną.

W dopisku spowiednika mieści się wiadomość, że umarła w tymże czasie młoda i piękna Zofja, pochodząca z wielkiego rodu.

Sam układ poematu świadczy o genezie utworów młodziutkiego poety. Jak zwykle bywa w pierwszym okresie twórczości, posiłkował się on wspomnieniami wielkich poprzedników. „Ojciec Hilary“ przywodzi na myśl „Giaura“ Byrona i „Mnicha“ Słowackiego, a przytem zabarwiony jest ideami, panującemi naówczas w naszej literaturze, stawia lud na pierwszym planie, obdarza go wszystkiemi cnotami, jakich brakło wyższym warstwom, a jednocześnie nadaje mu nie tylko inteligencję ale kulturę i subtelność tych barw. Nadewszystko chłop był zawsze szlachetny. Co do panów, Wolski wysilił się zaraz na początku na potworną postać podczaszego oraz zcudzoziemczałego szambelana. Już syn podczaszego jest

przedstawiony w zupełnie odmiennem świetle. Widocznie niechęci dla wyższych warstw nie było w duszy poety; czerpał ją ze środowiska tak samo, jak mistycyzm.

Bo szatan także w „Ojcu Hilarym“ wprowadzony jest jedynie dla uczynienia zadość wymaganiom ówczesnego romantyzmu; właściwie nie odgrywa on żadnej roli. Wolski niepodobny wcale do Cyprjana Norwida mistykiem nie był, świat nadzmysłowy nie nęcił go, nie przemawiał do niego, inaczej ta struna drgająca nieustannie w Norwidzie, Zmorskim, Dziekońskim, byłaby się odezwała w innych jego utworach. Tymczasem spotykamy ją zaledwie w pierwszej noweli „Skrzypce“, współczesnej „Ojcu Hilaremu“. Widocznie więc zapożyczył ją od środowiska, w jakiem przebywał. Wyznaje to sam w przedmowie do swoich poezji, wydanych w Wilnie przez Zawadzkiego w roku 1859. Jego własną za to była niezmierna poetyczna siła całego poematu, jego nastrój gorący oraz pełno pięknych ustępów, świadczących o wielkim talencie. Z tego samego czasu i równie silny jest wiersz „Zapał“. Wolski charakteryzuje w nim swą twórczość z naiwną dumą:

Moje marzenia to szczyty Tatrów,
A moje myśli to Wisły fala,
Kiedy szalona krami przewala,
A me uczucia to powiew wiatrów.
. . . .
Bo ma istota rodzona w chmurach,
A moje czoło w piorunach leży...

(C. d. n.) *Walerja Marrene-Morzkowska.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Mikołaja Sępa Szarzyńskiego: *Poezje*, z pierwodruku (1601) i z rękopisu wydał Ignacy Chrzanowski. (Biblioteka pisarzów polskich, nr. 42). Kraków. 1903. Nakładem Akademji Umiejętności, 8-ka mała, 78.

Dziwny los prześladował utwory Szarzyńskiego. Po zgonie ukazała się drobna ich garstka staraniem brata zgasłego poety, reszta zaś rękopisów dostała się Stanisławowi Starzechowskiemu, podkomorzemu ziemi lwowskiej. Ale po rychłym zgonie tegoż nie można już było odszukać spuścizny poetyckiej Sępa. Jedyne wydanie utworów poety przedrukował w r. 1827 w Poznaniu Muczkowski. A że dziś jest wyczerpana, przedruk zaś Turowskiego jest bezwartościowy z powodu licznych błędów, że dalej prof. Brueckner odnalazł sporą garść nieznanych wierszy Szarzyńskiego, tedy dobrze się stało, że p. Ignacy Chrzanowski ogłosił nowe wydanie utworów, wzorując je na pierwodruku, i dodając wszystkie rzeczy później odszukane. Wydanie to zostało zaopatrzone słowniczkiem, objaśniającym wyrazy mniej znane lub też dzisiaj wyszłe z użycia.

Pamiętnik sokoli. Przed samym zlotem wyszedł nakładem „Związku polskich gimnastycznych towarzystw sokolich“ rodzaj pamiętnika, którego zadaniem informacja uczestników zlotu, jak nie mniej szerszej publiczności w ogóle, o istocie sokolstwa polskiego, jego rozwoju i historji zlotów sokolich i t. d. — Komitet redakcyjny, złożony z dr. X. Fiszera, A. Walleka i I. Witwickiego wywiązał się ze swego zadania znakomicie i stworzył rzecz piękną, która obok swej aktualnej wartości posiadać będzie i wartość trwalszą, jako miła pamiątka, pamiątka podniosłych chwil zlotowych. — Kartę wstępną ozdabia widok Lwowa malowany przez Tondosa, a wykonany trójbarwnym drukiem według najnowszych wymogów techniki drukarskiej, szereg zaś artykułów rozpoczyna dr. Al. Czołowski rzeczą historyczną pt. „Dziejowym szlakiem“, w której przedstawia barwnie a zwięźle dzieje narodowego odrodzenia w tej części ziemi polskiej, na której mieszkamy. W artykule następnym pt. „Zasady i czyny“ wykazuje p. T. W. rolę i znaczenie polskiego sokolstwa w odrodzeniu ducha narodowego, a wreszcie dr. Xawery Fiszer w dwóch artykułach dalszych: „Polskie Związki sokole w dwu zaborach“ i „Zloty sokolstwa polskiego“ daje ściśle rzeczowy i na cyfrach oparty schemat rozwoju polskiego sokolstwa. Resztę książki zajmują informacje zlotowe i szereg widoków Lwowa, między którymi zwraca uwagę widok nieistniejącego już dziś „Kasyna Hechta“, które stało w miejscu, gdzie dziś gmach sejmowy, a w którem się znajdowała pierwsza siedziba lwowskiego „Sokoła“. Książka przedstawia się pod każdym względem okazale, a gdyby szukać już koniecznie „plamy na słońcu“, to zarzucić by można chyba format podłużny „kantyczkowy“, który tłumaczy się zapewne potrzebą noszenia tej książki w kieszeni w czasie zlotu, dla zasięgnięcia każdej chwili potrzebnej informacji.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.